EPOKA

TYGODNIK

ROK I | Warszawa, 11 grudnia 1932 R. | NR. 11

Zmienić dom!

Dwie dusze—dwa oblicza

Karnawał purytański

Donkiszoterja reakcji

Słowa groźnej prawdy

Wydarzenia i dokumenty. Odgłosy. Przegląd polityczny. Listy do „Epoki".

AUTORZY: MICHAŁOWSKI. LUKREC. CZOSNOWSKI. KORNACKI. WIDZ. ROGOWICZ.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

PODSTĘPY PRZEDSIĘBIORCÓW

Skoro zawodzą protesty, nie wruszają skargi, pozostaje zawsze spryt. Tę metodę wobec ubezpieczeń pracowniczych zaczynają stosować różne przedsiębiorstwa. Na razie słyszymy o kilku imprezach artystycznych, organizowanych przez kina. Muzycy i artyści rewjowi angażowani są mianowicie na procenty. Wynika z tego, że zarobki ich są „dniówkowe", że są nieregularne, że nie są określone żadną stałą gażą, czy stawką, wypłaca się je „z rączki do rączki", z dnia na dzień.

Oczywiście takie przygodne zarobki, jakkolwiek mogą trwać miesiącami i latami, nie są wykazywane przez przedsiębiorców. Pracownicy nie mają żadnego stosunku służbowego. Nie podpadają pod kategorję ubezpieczonych w ZUPU i w Kasie Chorych. Nie ściąga się też podatku dochodowego.

Kilka znanych przedsiębiorstw w Warszawie tym sposobem robi oszczędności na skarbie Państwa i pozbawia swych pracowników pomocy lekarskiej w razie choroby, ubezpieczenia w razie bezrobocia i innych świadczeń.

KULTURALNE DNO

Rzezimieszek, który we Lwowie poranił śmiertelnie studenta ś.p. Jana Grotkowskiego, jest Żydem. Za tę zbrodnię bandyty młodzież nacjonalistyczna w wyższych uczelniach Lwowa, Krakowa, Wilna i Warszawy czyni odpowiedzialnym ogół studentów Żydów. Tak się to teraz układają stosunki w instytucjach poświęconych pracy naukowej: za bandytę ma być odpowiedzialny student. Śmierć ś. p. Jana Grotkowskiego dała powód do wznowienia i wzmożenia rozruchów antyżydowskich.

Największe zdziczenie panuje zawsze na tych drogach, gdzie działa zasada odpowiedzialności zbiorowej. Tym razem zasada ta doprowadzona została do ostatecznych granic psychozy: wystarczyło, że morderca, znany policji opryszek, jest Żydem, by zainscenizować awantury na wielką skalę.

Potworny, najniższy poziom. Kulturalne dno.

POJĘCIE SPOKOJU

P. A. T. w depeszy z Poznania donosi:

„Dziś przed południem odbyło się w kaplicy Domu Akademickiego nabożeństwo żałobne za spokój duszy ś. p. Grotkowskiego, który zginął tragiczną śmiercią we Lwowie. Po nabożeństwie odbył się w gmachu uniwersytetu wiec ogólno - akademicki z udziałem zgórą 2000 osób. Na wiecu wygłoszono szereg przemówień. *Nastrój był bardzo poważny*, po wiecu młodzież ruszyła przez miasto chodnikami, *wznosząc okrzyki antyżydowskie. Spokoju nie zakłócono.* Pochód po przejściu przez miasto powrócił przed gmach uniwersytetu i tam się rozwiązał". (Podkreślenia nasze).

2000 osób ruszyło przez miasto, wznosząc okrzyki antyżydowskie. Korespondent P. A. T. nie uważa, żeby takie okrzyki parotysięcznego tłumu były zakłóceniem spokoju. Czy, rzeczywiście, zakłócenie spokoju następuje dopiero wtedy, kiedy się krew leje?

Nie posądzamy centrali P. A. T. o taki pogląd. To, oczywiście, nieuwaga. Byłoby lepiej, żeby takich niedopatrzeń unikano.

O GRÓB SZOPENA

Pewien czytelnik londyńskiego „Observera" uderza na alarm:

„Ku największemu swemu zdziwieniu, — jeśli już nie powiem rozpaczy, — dowiedziałem się z pisma Waszego, że istnieje plan przeniesienia zwłok Szopena z cmentarza Père Lachaise do rodzinnej wioski wielkiego kompozytora — Żelazowej Woli, w pobliżu Warszawy, gdzie *nikt z szerszej publiczności nigdy nie będzie mógł odwiedzić tej mogiły.*

Dzięki temu przeniesieniu zadziwiający cmentarz paryski straciłby wiele czaru. Mam przeto nadzieję i wierzę niepłonnie, że ten całkiem bezmyślny i nikczemnie głupi projekt nie będzie wykonany".

Pomijając niezwykłą (zwłaszcza jak na Anglika!) ekspresję wyrazów, moglibyśmy nawet zrozumieć szczery lęk czciciela Szopena, gdyby nie zwrot o tem, że „nikt z szerszej publiczności nie będzie mógł odwiedzić tej mogiły". Dla Anglika Indje są niedaleko, Egipt — w sąsiedztwie Anglji, Włochy — tuż pod bokiem, ale Polska — gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Nie zmartwi się chyba duch Szopena, jeśli „szersza publiczność", w zrozumieniu czytelnika „Observera", do Żelaznej Woli nie dojedzie. Ale ciekawą jest rzeczą, coby ten sam czytelnik powiedział, gdyby prochy Szekspira lub Dickensa miały spoczywać na Père Lachaise, a nie w Westminsterze?

ZAPOMNIENIE

W obszernej i pięknie napisanej monografji W. Rzymowskiego p. t. „W walce i burzy. Tadeusz Hołówko na tle epoki", opuszczony został dość ważny moment w działalności pisarskiej Tadeusza Hołówki.

Nie w roku 1915-tym, lecz w 1914-tym przybył Tadeusz Hołówko do Warszawy i pierwsze na gruncie warszawskim artykuły zamieścił w tygodniku „Widnokrąg", wydawanym i redagowanym wówczas przez obecnego redaktora „Epoki". Pierwszy artykuł Hołówki p. t. „Interwencja", zamieszczony był w n-rze 51-ym „Widnokręgu, z dn. 21 grudnia 1914-go roku. Od początku roku 1915-go „Widnokrąg", prócz redaktora naczelnego podpisywali Roman Węgnerowicz i Tadeusz Hołówko, jako członkowie komitetu redakcyjnego, — aż do chwili aresztowania dwóch pierwszych przez żandarmerję rosyjską i zawieszenia pisma.

Po wznowieniu „Widnokręgu", w maju 1915-go roku, już pod redakcją W. Rzymowskiego, Tadeusz Hołówko na łamach tego pisma zamieszczał swoje świetne artykuły — do chwili, kiedy obadwaj zostali aresztowani przez policję polową niemiecką i wywiezieni do obozu jeńców. Ten okres jest doskonale przez W. Rzymowskiego opisany.

PIĘKNY DOKUMENT

Komitet Obchodu 25-lecia walki o szkołę polską wydał pierwszy tom źródłowego dzieła p. t. „Nasza walka o szkołę polską 1901 — 1917".

Księga ta daje obraz bohaterskich, rozpaczliwych, niekiedy wydawałoby się beznadziejnych walk szkolnych z lat 1901 — 1917, t. j. od czasu, gdy młodzież w b. Królestwie Kongresowem porzuciła szkołę rosyjską i zażądała wolnej szkoły polskiej.

Tom pierwszy obejmuje wypadki w b. zaborze pruskim, dzieje protestu przeciwko nauczaniu religji po rosyjsku w r. 1902 na Podlasiu i Polesiu, oraz historję akcji młodzieży w b. Kongresówce od 1905 do 1914 r.

Tom drugi, który jest jeszcze w opracowaniu, zawierać będzie dzieje organizacji politycznych i kulturalnych starszego pokolenia w b. Kongresówce, organizacji nauczycielstwa, oraz tajnego nauczania.

Dla przyszłego historyka szkolnictwa, praca ta stanowić będzie nieocenioną skarbnicę dokumentów. Księga ta stanowi również niezmiernie ciekawą lekturę. Na kartach jej wypowiedzieli się ówcześni najgorętsi bojownicy o szkołę polską; z opowiadań ich bije żar przeżyć młodzieńczych, odblask cierpień, klęsk i zwycięstw.

PROLETARYZACJA ARTYSTÓW

Wychodzący w Pradze czeskiej tygodnik gospodarczy „Hospodarsky Rozhled" (24.XI), omawia w obszernym artykule kwestję wzrastającej proletaryzacji artystów. W Czechosłowacji pracuje twórczo, jak stwierdza tygodnik 4.300 artystów we wszystkich dziedzinach sztuki. Nieznaczny tylko ułamek tej liczby, jakieś 10 do 15%, nie odczuwa bezpośrednio skutków kryzysu, nie jest uzależniony materjalnie od sprzedaży swoich dzieł, ma podstawę bytu na różnych posadach. Reszta, t. j. 85%, cierpi nędzę, żyje z dnia na dzień, nie znajdując nabywców na swoje prace.

To samo powiedzieć można o położeniu materjalnem artystów w innych krajach.

Rozważania swoje opatruje autor artykułu w tygodniku czeskim następującą uwagą:

„Jedyną pociecha (?) w tym stanie rzeczy jest fakt, iż artystom żyjącym nie zagraża żadna konkurencja ze strony młodej generacji, albowiem w obecnych warunkach niema odważnych, którzyby chcieli i mogli poświęcić się karjerze artystycznej".

Czechosłowacja nie należy do najuboższych krajów Europy...

»UMRĘ, JAKO MARZYCIEL«

Premjer angielski, Ramsay Mac Donald na wielkiem zgromadzeniu politycznem w Portsmouth rzekł ...:

„Umrę jako marzyciel. Jak można żyć poprzez te lata, jeśli nie marzy się o tem, by pomóc ludzkości zbyć trochę ciężaru? Trzeba stykać się z ludźmi, którzy mają ideały, aby móc trwać w marzeniach. Poszukujemy ludzi, którzyby służyli państwu bez myśli o nagrodzie. Żaden polityk, bez względu na przynależność partyjną, nic nie zdziała, jeśli nie będzie mógł zwracać się do rozumnej i myślącej demokracji i zyskiwać poparcia ludzi nie tych, którzy żądają czegoś, ale tych, którzy są czemś i których jakaś siła wewnętrzna pcha do wyrażania tego czegoś w kształtowaniu własnego życia i spraw publicznych".

Walka z krzywdą człowieka i obywatela jest naczelnem zadaniem „Epoki".

ZMIENIĆ DOM

Ilekroć w naszem życiu publicznem zajdą jakieś wydarzenia, w których główną, a zgoła niepochlebną rolę odgrywa nasza młodzież — zawsze wśród głosów, poddających krytyce owe objawy, znajdują się i takie, które — doszukując się przyczyny zjawiska— widzą ją najchętniej w złem przygotowaniu młodzieży do życia. Inaczej — przyczyny tej szukają i cały ciężar odpowiedzialności zwalają bezapelacyjnie na szkołę.

Bo — mówi się wówczas — to przecież szkoła wychowuje w swych murach przyszłych obywateli; to przecież szkoła ma za zadanie kształtowanie charakterów młodzieży, to przecież szkoła — rozporządzając różnorodnemi metodami wychowawczemi — powinna zaprawiać młodzież do dobrego i uodporniac na zło. I w ostatecznym wyniku takiego uproszczonego rozumowania za wszystko, cokolwiek ta młodzież przedsięweźmie, odpowiedzialnością obarcza się szkołę.

Jest w takiem rozumowaniu zapewne wiele racji, ale jest także wiele przeoczeń. Wynikają one przedewszystkiem właśnie z tego uproszczenia, które — zanadto już zwężając kąt patrzenia na rzeczy — uwagę skierowuje na jeden tylko punkt, który — choć jest wprawdzie punktem centralnym — nie jest przecie jedynym.

Szkoła jest winna — zapewne. Szkoła ma jeszcze wiele braków — oczywiście. Ale czy na kształtowanie charakterów i urabianie poglądów, na wybór środków, prowadzących do upatrzonego celu, poza szkołą nie wpływa już nikt i nic więcej? Czy odpowiedzialności za wartość i jakość młodego pokolenia nie powinien ze szkołą podzielić nikt więcej? Czy do tej współodpowiedzialności nie należałoby pociągnąć — prócz szkoły — jeszcze czynnika wielkiej, jeżeli nie największej wagi, jakim jest bezwątpienia dom rodzinny?

Nie mamy bynajmniej zamiaru uzasadniać dawno już uzasadnionej i uznanej prawdy o psychologicznej roli domu i najbliższego otoczenia w kształtowaniu charakterów ludzkich, o możnym, niejednokrotnie prawie, że decydującym wpływie tych czynników na duszę dziecka. Wagi tych wpływów nikt ani chce, ani może zaprzeczyć. Ale (rzecz charakterystyczna) rzadko kto bierze je pod uwagę przy ferowaniu wyroków za takie, czy inne czyny młodzieży. A tymczasem przy wszelkich rozważaniach i osądach na omawiany tu temat zapominać o domu rodzinnym i jego odpowiedzialności nie należy i nie wolno.

Od czasu, kiedy zagadnienia wychowawcze wysunęły się na czoło zagadnień już nietylko pedagogicznej, ale i społecznej natury — wiele mówi się, pisze i dyskutuje na temat współdziałania domu ze szkołą. Współdziałanie to ma być gwarancją trwałych, a dodatnich rezultatów pracy wychowawczej nad młodzieżą. I niewątpliwie bez wzajemnego porozumienia i wzajemnego zgodnego oddziaływania tych dwóch czynników, owoce pracy wychowawczej albo będą zawsze niedojrzałe, albo nie będzie ich wcale. Prawda ta staje się coraz bardziej zrozumiałą i oczywistą, i sprawa porozumienia i współpracy domu ze szkołą zdaje się wkraczać na właściwe tory. Ale są to jeszcze dopiero początki i pierwsze lody nie zostały całkowicie, a skutecznie przełamane.

Szkoła jako instytucja publiczna, już dzięki swemu publicznemu charakterowi jest stale pod kontrolą zarówno ze strony władz specjalnie do tej kontroli powołanych, jak i ze strony samego społeczeństwa, stykającego się ze szkołą poprzez liczne rzesze rodzicielskie. Kontroli tej niema, a i zresztą nie może być w stosunku do domu rodzinnego. O każdem nowem poczynaniu szkoły wie szeroki ogół; tajemnice domu pozostają zawsze tajemniczemi.

Jeżeli użyliśmy tu słowa *tajemnica* — nie chcieliśmy w ten sposób bynajmniej identyfikować go z jakąś konspiracją bojącą się światła dziennego. Ta tajemnica domowa — to jest poprostu ten zamknięty w sobie świat, w którym obraca się poza godzinami szkolnemi młodzież nasza. Świat ten czasem dla szkoły jest zgoła niedostępny, a czasem wymyka się on wszelkim wpływom i oddziaływaniom zzewnątrz. W takich warunkach praca wychowawcza szkoły staje się pracą zaiste syzyfową, polegającą na budowaniu w szkole tego, co za chwilę burzyć zacznie dom rodzinny.

Wcale nie należą do rzadkich wypadki, że uczestnikami głośnych „wyczynów" ulicznych są wychowankowie szkół cieszących się zupełnie zasłużenie opinją szkół dobrych, hołdujących wzniosłym ideałom i kultywujących te ideały niezłomnie. Ta niewspółmierność pomiędzy owym ideałem wychowawczym i ulicznym „wyczynem" nie może spadać brzemieniem odpowiedzialności na szkołę. Winowajcy szukać w takich wypadkach należy nie w szkole, ale raczej poza nią: bądź właśnie w domu rodzinnym, który systematycznie przeciwstawiał się i burzył pracę szkoły, bądź — co jest zjawiskiem dość częstem — w tem otoczeniu, w którem obcuje młodzież poza szkołą i poza domem.

Chcąc zmienić naszą młodzież, należałoby zmienić nie tylko programy nauczania i metody wychowawcze w szkole, ale przedewszystkiem dążyć do zmiany atmosfery, panującej w domu rodzinnym. Ale tu już otwiera się zagadnienie nowe, niezmiernie szerokie, zazębiające się o cały szereg zagadnień innych wcale nie pedagogicznej natury. Chcielibyśmy tylko nadmienić, że i w tym kierunku, w kierunku zmiany nastrojów i atmosfery domowej, zaczyna się u nas już coś robić.

Czemże, jeżeli nie wysiłkiem tego właśnie rodzaju, są owe zebrania rodzicielskie, odbywające się w szkołach i mające na celu, jak najdokładniejsze zorjentowanie rodziców nie tylko w sprawach postępów ich dzieci, ale także i w dziedzinie obowiązków rodzicielskich w domu? Czemże, jeżeli nie próbą oddziaływania na rodziców są owe „szkoły dla rodziców", znane zagranicą, a u nas stawiające pierwsze kroki? To jest właśnie to przełamywanie lodów obojętności rodzicielskiej i to — *sit venia verbo* — wychowywanie rodziców przez szkołę.

Dopiero wówczas, kiedy się zmieni i oczyści atmosfera domowa, dopiero wówczas, kiedy dom rodzinny nie formalnie, ale szczerze i z pełnem zrozumieniem zacznie współpracować ze szkołą — dopiero wówczas wyjdzie z naszych szkół inny typ młodzieży.

A dopóki to nie nastąpi, dopóki każdy sobie będzie „rzepkę skrobał" — dopóty przy poszukiwaniu przyczyn rozmaitych ekscesów i „wyczynów" trzeba skierowywać wzrok nie tyle ku szkole, ile raczej ku domowi rodzinnemu. *Zygm. Michałowski*

DWIE DUSZE — DWA OBLICZA

WIEŚ I MIASTO

Ludzie uduchowieni z miasta, mający zmysł dla przyrody, podziwiają zawsze piękno życia wiejskiego. Ale, gdy oglądają je tylko w przejeździe lub dorywczo w pogodny czas letni, nie mogą mówić jeszcze o znajomości wsi; w nią wżywać się trzeba od wczesnej młodości i tkwić w niej wszystkiemi włóknami myśli i uczuć. Wówczas dopiero powstaje możność właściwego odróżnienia świateł i cieni życia wiejskiego, wyczuwania jego rytmu i duszy, jak również poznawania prawdziwego czaru przyrody, jej „ubłogosławienia" jak mówi Orkan, ale też poznawania z drugiej strony jej bezlitosnego okrucieństwa.

Upajająca jest słodycz melodji słowiczej wśród pachnących powiewów nocy majowej, ale jakże rozdzierający duszę jest jęk szarpanego przez jastrzębia gołębia.

Radosny jest obraz sprzętu ziarna w pogodne dnie lipcowe, ale jakże smutny jest widok zwałowanych i skotłowanych przez grady pól pszenicy lub żyta.

Przeciwieństwo wsi i miasta powstaje nie tylko z przyczyn naturalnych, wskutek bezpośredniego oddziaływania przyrody na życie, występuje nie tylko w rażących różnicach urządzeń i interesów gospodarczych, — różnicach słabo niwelowanych przez rozwój cywilizacji, ale także w dziedzinach najmniej docenianych, uznanych, ale niezmiernie ważnych, mianowicie w dziedzinach: ideologicznej i psychologicznej.

Odrębny stosunek do życia praktycznego w mieście wynika z dominującego układu urządzeń przemysłowych i handlowych. Cechą najwybitniejszą, panującą nad intelektem miasta, jest myślenie kupieckie, duszą współczesnego miasta jest handel; oblicze kupca wisi nad miastem, nad dachami domów handlowych i fabryk, tak jak nad stepem niezmierzonym wisi oblicze pogodnego jasnego miesiąca, wpływ jego przenika w głąb całego życia miejskiego, zmuszając je jak lunatyka do automatycznego lub nałogowego myślenia praktycznego, podstępnego, przystosowanego do ciągłej kalkulacji zysków, procentów. Stąd płynie bezwiedny czysto racjonalistyczny stosunek do życia, tembardziej wszechwładny w duchowem życiu miasta, im mocniej huczy i większa jest liczba koni parowych i im więcej stuka maszyna w biurach handlowych i sklepach towarowych. Wszechwładza praktycznego materjalizmu wytworzyła szkołę finezji kupieckiej, kształcącej zmysł rzutkości i zdolności przenikania do najtajniejszych źródeł zysków, doprowadziła też w dalszym ciągu do artyzmu sztukę omotywania konkurencji, snucia nici lichwy, rywalizując z danym przez naturę artyzmem pająka, chwytającego z wyrafinowanem okrucieństwem w swą przędzę słabsze, mniej przebiegłe, lub głupsze ofiary.

Zwłaszcza w ostatniej dobie, kiedy warunki walki o byt i współzawodnictwa na skutek przesilenia samego ustroju zaogniły się znacznie, wymagając dla

wykuwania życia ostrzejszego dłuta, wystąpiły znamiona nowego, wyższego stopnia segregacji naturalnej i doboru gatunków kapitalistycznych. Wszystko, co miało w swojej psychice resztki idealistyczne, jakieś pozostałości tradycji i wychowania z romantycznego, twórczego okresu kapitalizmu, wszystko to, co chciało łączyć chęć zysku i mus wyzysku z pozorami i godnością człowieczeństwa — dziś zostało zdetronizowane, zdruzgotane materjalnie i starte z powierzchni życia gospodarczego. Obserwować więc można zjawisko, że czynny jeszcze niedawno gatunek mieszańców kapitalistycznych, obciążonych pewnemi ambicjami obywatelskiemi i uczuciowością, i przez to nie mogących przystosować się do zmienionych warunków pracy ostatniej doby, został wybrakowany drogą ruiny, bankructwa, samobójstwa, emigracji, pozostał zaś na placu typ doborowy i dominujący, skrystalizowany w resortach kryzysu, typ czysty, rasowy w swej brutalnej drapieżności: kupiec — lichwiarz, przemysłowiec - lichwiarz, finansista — lichwiarz.

Stąd powstają ostatnio tak liczne symbole okrucieństwa w rodzaju Żyrardowa, nazewnątrz bowiem wypłynęła w całej swej nagości treść przemian w procesie doboru naturalnego w świecie kapitalistycznym; i Widz dobrze widzi, wołając, że Żyrardów jest wszędzie, że „Żyrardów jest większy, niż miejscowość o tej nazwie". Duch Żyrardowa ogarnia z szybkością zarazy wszystkie miasta i osiedla pracy, przeprowadzając dalej wybrakowanie zleżałego już towaru w postaci swoich poprzedników przedkryzysowych w imię czystości i jednolitości gatunku najnowszego stempla, wraz z jednoczesnem wyplenianiem drogą „racjonalizacji produkcji" resztek idealnych i racjonalnych chwastów w świecie moralności kapitalistycznej. Duch merkantylny, nawskroś współczesny, wiszący nad miastem, bierze w posiadanie jego życie psychiczne, nadając mu swoje cechy wyrachowania zimnego, skalkulowanego i oprocentowanego.

Do niego przystosować się musi pod groźbą upadku, zagładzenia i uduszenia cały mózg i dusza miasta we wszystkich swoich przejawach i wymaganiach. Czyste natchnienie poetyckie wałęsa się samotne po opustoszałych placach, albo dogorywa butwiejąc na półkach księgarskich, na ścianach przybytków sztuki, albo rozłazi się zniechęcone po ziewającej widowni teatrów, samo zaś czytelnictwo spada do hotentockiego poziomu i smaku zadającej ton publiczności.

Inteligentny świat pracy, zubożały i zmaltretowany, drżący o ochłapy bytu i o zaliczki, bezsilny wobec powszechnego panowania ducha żyrardowskiego, — kwili po kątach, nie mogąc wyrazić, ani swej siły gromadzkiej, ani swego właściwego oblicza.

Żaden badacz kultury i psycholog społeczny, żaden publicysta o pewnej wrażliwości i sumienności, nie może zdawkowo pomijać tych wszystkich zagadnień ostatniej doby, jeżeli pragnie odtwarzać obraz żywych stosunków, mający przemawiać do świadomości współczesnej i ułatwiać poznanie jego wartości ogólnej i wychowawczej. Dlatego charakterystyka pewnych typów społecznych i próby odsłaniania procesów rzeczywistości i jej faktów — stanowią pewnego rodzaju foto-montaż życia, jako pomocniczy sprawdzian założeń teoretycznych.

Na wsi proces wybrakowywania rozpoczął się także już w sposób jawny i dostępny jest dla oka nawet nieuzbrojonego. Najogólniejsze określenie obecnego stanu gospodarczego wsi będzie: zubożenie. Na skutek znanych powszechnie rozpiętości cen na wytwory rolne i przemysłowe, produkcja rolna stała się deficytową. Ziemia, jako przedmiot pożądania dla każdego rolnika — jest dziś wskutek zubożenia wsi niemal zupełnie niedostępna. Każda prawie posiadana morga ziemi średniej własności z tytułu podatkowego, bankowego i prywatnego obdłużenia nie jest faktycznie już własnością rolnika, wierzytelności bowiem przekraczają wartość rynkową ziemi. Ożywiona parcelacja, prowadzona w czasach konjunktury, jeszcze kilka lat temu, obecnie zupełnie prawie zamarła. Parcelanci, włościanie, uginający się pod ciężarem przyjętych zobowiązań z tytułu nabycia ziemi po cenach wygórowanych — są dziś doszczętnie zrujnowani. Wartość tych wszystkich nawozałożonych gospodarstw, na skutek spadku cen ziemi i płodów rolnych jest niższa, niż wysokość samych hipotecznych długów. Jęczą pozatem w szponach lichwiarzy. Większość średnich gospodarstw naskutek przeciążenia podatkowego na inwestycje i meljoracje jest obecnie niewypłacalna.

Co jakiś czas ogłaszane są listy majątków, wystawianych na licytacje. Jedno tylko Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w jednym miesiącu, listopadzie r. b. wystawiło na sprzedaż siedemset majątków za niepłacone raty i zaległe procenty.

Zdolność nabywcza małorolnych spadła do zera. Brak nieraz u tych gospodarzy najniezbędniejszych przedmiotów i sprawdzałem wypadki, kiedy kilkumorgowi rolnicy zwracali się narówni z bezrolnymi do społecznych instytucji pomocy bezrobotnym o przydzielenie drobnych porcji tłuszczu i kaszy. Badając warunki życia bezrolnych po wsiach, spotykałem chałupy, w których część rodziny leży w biały dzień w łóżkach, ażeby druga część rodziny mogła chodzić po wsiach w jej odzieży i obuwiu. Zwiększa się też znacznie liczba rodzin, które zimową porą nie używają światła z braku pieniędzy na naftę i w zimie idą spać jednocześnie z kurami.

Liczny element bezrolnych, t. zw. komorników, stanowi w ostatnich czasach olbrzymi nieprodukcyjny balast wsi, gdy wskutek bezrobocia, zubożenia gospodarstw włościańskich i folwarcznych, oraz straszliwego spadku cen na dorywczą robociznę — jest zupełnie pozbawiony środków do życia, przedstawiając obraz absolutnej pauperyzacji.

Gminne opieki społeczne są w olbrzymiej większości bezsilne z braku odpowiednich środków pieniężnych przy jednoczesnym wzroście potrzeb wynędzniałej ludności.

Wieś dzisiejsza może być źródłem wytchnienia tylko dla ludzi niczem nie związanych z walką rolnika o byt codzienny. Z pozoru wieś i dziś ma wygląd normalny i spokojny. Ta sama prawie uprawa roli, te same łany zbóż, łąki, pastwiska i pięknie na wiosnę kwitnące sady. Oko widza nie podejrzewa, że ten sielankowy obraz pól i sadów stanowi wielki ogród udręczeń i zarazem trzęsawisko klęski. Komornicy i sekwestratorzy są dobrze zadomowionymi gośćmi, docierając wszędzie, do spichrza, stajni, obory, mieszkania w zagrodzie i w folwarku. Z związku z powszechnem zubożeniem, pogłębiającem się nadto wskutek ciągłego ssania lichwy — występuje zjawisko osobliwej demokratyzacji stosunków wiejskich. Życie ostatnich paru lat zniwelowało wiele różnic, zbliżając w wielu wypadkach wieś i folwark, łączą-

cych się teraz w obliczu wspólnej klęski. Ziemia sama, która była dotychczas przedmiotem zazdrosnego pożądania ze strony rolnika i zarazem źródłem głębokich różnic społecznych i walk politycznych, obecnie odstrasza i odstręcza brakiem rentowności. Ta główna kość niezgody w życiu wiejskiem zmalała, osłabiając instynktowny napór w kierunku jej posiadania. Kto chciałby więc mierzyć stosunki wsi dzisiejszej miarą z przed lat jeszcze paru, nie mógłby dokonać pomiarów, nie zmieniając jej znacznie.

Życie wsi, jakkolwiek upływa w ciężkich, skomplikowanych warunkach, wymaga jednak stosowania innych metod niż w świecie przemysłowo-handlowym.

Miasto, oparte o organizacje przemysłowo-handlowe, poddane duchowi kupiectwa, odrzuca dziś w zbiorowej walce o byt wszelkie pierwiastki idealne, duchowe, irracjonalne, które jednak na wsi nie giną w bezpośredniem obcowaniu z przyrodą i nie przestają oddziaływać na sposób odczuwania i myślenia wiejskiego. Miasto, gromadzące środki, kapitały i bogactwo urządzeń, stanowi przez to skoncentrowaną siłę i posiada niewątpliwą przewagę nad wsią rozproszoną, na którą składają się indywidualni pracownicy, niesprzęgnięci stałą zbiorową pracą ani w sferze walki o byt, ani w dziele przetwarzania dla miasta skarbów natury i ducha.

Henryk Lukrec

INSPEKTY „BUSINESS'U"

Powieść Erenburga p. t. „Król Zapałczany*)", nie jest literackim refleksem śmierci i skandalicznej afery Kreugera. Napisana została w r. 1930 i późniejszy światowy skandal z Koncernem Kreugera nadaje jej tylko zewnętrzne pozory aktualności, istota bowiem tej aktualności tkwi nie w konkretnem przedstawieniu działalności rzeczywistego króla zapałczanego, lecz w odsłonięciu kulis wielkiej polityki i jej związku z machinacjami wielkiego kapitału.

Erenburg wyprowadza na widownię dwóch wielkich, światowych rekinów kapitalistycznych, zwalczających się wzajem i wydzierających sobie z okrwawionych szponów władzę nad światem.

Dokoła tych dwóch olbrzymów uwija się we wszystkich krajach falanga żarłocznych pigmejów, którzy pomagają im tkać misterne oka tej polityczno-gospodarczej sieci, w jakiej miota się współczesny świat.

Aktorzy wszystkich dziejowych wydarzeń — instytucje i ludzie — których zwykły obywatel w naiwności swej uważa za samodzielnych twórców naszej rzeczywistości i z tego tytułu obarcza ich odpowiedzialnością, okazują się w zwierciadle tej książki jedynie marjonetkami. Od ich postaci ciągną się niewidzialne nici, które zbiegają się w rękach kilku prawdziwych władców naszej planety. Oni to dopiero wprawiają w ruch marjonetki, pozostawiając im nawet złudzenie, że działają niezależnie, prawdziwi bowiem władcy są skromni i wolą przezornie pozostawać w cieniu.

Wojna i pokój, praca i bezrobocie, wzmożenie produkcji i celowe jej niszczenie, głód i dobrobyt, palące zagadnienia i paradoksy współczesnego życia, wielkie sprawy, w których do siódmego potu zabiegają pozorni włodarze państw — rozstrzygają się gdzieindziej i nie przez nich.

Przeciętni zjadacze chleba świadomi są jedynie pozornej rzeczywistości, inscenizowanej przez zakonspirowanych reżyserów i dlatego tak mętne są ich sądy o ludziach i wypadkach. Polityki nie robią zawodowi politycy, o jej wielkich posunięciach nie decydują ani parlamenty, ani dyktatorzy, ani Liga Narodów, ale decydują króle, ci niekoronowani, zapałczany, mięsny, stalowy i inni.

Ale i oni podlegają pewnym imperatywom. Rządząc się wyłącznie zyskiem, nie powściągani żadnym hamulcem etycznym, ani moralnym, stają się z czasem ofiarami własnej krótkowzroczności, własnych zbrodni, podlegają nieubłaganym, mechanicznym wprost prawom wytworzonej konjunktury.

Nie mają i mieć nie mogą skrupułów. Jeśli konjunktura, jaka się wytworzyła, dyktuje racji stanu, ich racji stanu, wojnę — to będzie wojna, jeśli rewolucję — to będzie rewolucja, a jeśli dla tem łatwiejszego przygotowania w tajemnicy jakiegoś zyskownego łajdactwa na miarę światową, trzeba uśpić czujność publiczną, to hojnie sypną miljonami bodaj na ligę pokoju — opłaci się, zwróci się ze stokrotnym zyskiem!

Może na ukazującej się nam w zwierciadle Erenburga masce świata zbyt już zgęszczone są te zmarszczki i grymasy, może zbyt ich mało na wyłaniającej się na drugim planie masce Sowietów, mimo to przecież poznajemy: tak, to jest nasza rzeczywistość.

Przeżywamy epokę triumfu cynizmu i obłudy. Rozszalały na świecie moce potworne, których nie umiemy ujarzmić. Haniebnie wyzyskują one impas ludzkości, bezkarnie żerują na bezsilnem i drgającem jej ciele.

Jak wyjść z tego impasu? Gdzie Mojżesz, który wyprowadzi ludzkość z „domu niewoli"?

Ustrój kontrastowo różny, który powstał za naszą wiedzą, pogrążył podległe mu masy w konwulsjach i wzmógł raczej sumę ich cierpień.

Nie zachęca on do naśladownictwa. Nie tędy droga.

Krzyżują się zdania, opinje, rady, — zrozpaczone masy, kolebane wiarą i nadzieją, przechylają się to w tą, to w inną stronę, aż wszędzie doznawszy zawodu, pogrążają się wreszcie w tępej apatji.

Ale stan to pozorny — gdzieś na dnie kondensują się ukryte siły dynamiczne i jest rzeczą tylko przypadku, aby w czasie znalazły one takie, czy inne, ale zawsze groźne i w skutkach nieobliczalne ujście. Powszechna bezradność chroni się za parawan czasu i głosi hasło: trwać — aby przetrwać!

Czy hasło bezterminowej cierpliwości, nie legitymujące się nawet żadnym konkretnym wysiłkiem wyjścia z impasu, może samo na te kondensujące się siły dynamiczne podziałać tak, aby „rozeszły się po kościach ludzkości", a nie parły do zmiany, choćby po kościach ludzkości?

Jeśli tylko w czasie świta jeszcze nadzieja ratunku, to zrewidujmy przynajmniej hasło: nie „trwać, aby przetrwać", ale „trwać, aby zmienić". Wprowadźmy do hasła — i w życie — element czynu.

Istotnie, zmiana wymaga czasu, długiego czasu, by jednostki i instytucje dobrej woli, nie poddając się zgubnym nastrojom apatji i zbawczego czasu nie marnując na jałowe czekanie, zużyły go na działanie

*) Ilja Erenburg: Król Zapałczany. (Jedyny Front). Przekład Józefa Brodzkiego. Warszawa 1932, wydawnictwo „Roju".

i wykuły wreszcie zmianę biernego dotąd frontu ludzkości wobec trustu niekoronowanych królów, tej najpotężniejszej międzynarodówki, która traktuje ludzkość, jako mierzwę na inspekty swego businessu.

Czy mam tu przypominać ujawnione potworne zjawiska międzynarodowego handlu bronią, amunicją i sprzętem wojennym, cyniczną ich sprzedaż swoim na wroga i jednocześnie temuż wrogowi na swoich — bo prawdziwym wrogiem nie jest oficjalny wróg polityczny, lecz zastój i brak odbiorców na towar wojenny. Oficjalny wróg bywa nawet naturalnym sprzymierzeńcem, z chwilą, gdy staje się konsumentem tego towaru!

Wszak zarówno ten koncern międzynarodowy, jak i jego odgałęzienia, nie znają więzów etycznych, ani moralnych, sam zresztą aparat jego, raz uruchomiony, mechanicznie poniekąd depcze indywidualne odruchy i sentymenty humanitarne, które mogłyby się zrodzić nawet w sercach ludzi, zaprzęgniętych do jego rydwanu.

Temu to potężnemu frontowi koncernów kapitalistycznych przeciwstawić się musi jednolity i nieustępliwy front etyczny i moralny humanitarystów i intelektualistów, słowem ludzi dobrej woli, nie „trwających, aby przetrwać", lecz walczących, aby zmienić. Każdy etap tej walki, każdy najdrobniejszy nawet wyłom w twierdzy bezdusznego okrucieństwa i wyrachowania jest baslamem otuchy dla zmęczonych serc ludzkich i przebłyskiem nadziei, że uporną walką przecież przyśpiesza się moment wyjścia z impasu, nietylko gospodarczego, ale psychicznego i ustrojowego ludzkości. *Stanisław Czosnowski*.

KARNAWAŁ PURYTAŃSKI

Przeklęta „prosperity"!... Na łamach wielkich pism amerykańskich żałują jej coprawda masowo i hurtem liczni pismacy - statyści tragedji kapitalizmu, a ciemny motłoch miejski także zawodzi i rozpacza w takt minorowo nastrojonej prasy codziennej, wzdychając do niedawnych dobrych czasów i marząc, iż może wrócą one niezadługo... Jednakże coraz częściej, w przeróżnych naukowych, literackich, czy społecznych perjodykach natrafia czytelnik na hasła walki z możliwościami nawrotu Prosperity, oraz na ciekawe w swojej niezwykłości wykresy i rozważania o wszystkiem złem, jakie Ameryce Prosperity przyniosła.

Ostatni numer rewolucyjnych „*New Masses*", jaki leży przedemną, nie jest bynajmniej odosobnionym przejawem niechęci względem wczorajszej przeszłości Ameryki. Mądrze chrześcijański, a wielce poczytny zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie „*The Christian Science Monitor*" mimo, iż od innej strony na Prosperity spogląda, widzi jednak te same krajobrazy, co czerwona, komunistyczna prasa. Jeśli nazwiemy Prosperity rozległą przepaścią, dzierżącą w swych mrocznych obręczach kulturę amerykańską na przestrzeni kilkudziesięciu lat, uzyskamy za to określenie nietylko poklask zdecydowanie bolszewizujących rzesz, nietylko aprobatę wielu chrześcijan, lecz oburzenie uniwersyteckiej młodzieży Stanów Zjednoczonych, która gotowa skarżyć nas o... plagjat jej własnych słów.

Właśnie ta rzesza studencka, której ogólną cechą, poza drugoplanowemi „izmami", jest młodość, — właśnie ta studenterja najjaskrawiej może, ale zato najobjektywniej maluje nam w swych czasopismach grozę przebytej Prosperity. Podczas, gdy w obliczu kryzysu jedni po Chrystusa sięgają, a inni po Marxa, młodzież amerykańska wywołuje z mroków niepamięci wielkie imiona swych narodowych świętych, — Emersona, Jamesa, Whitmana, — twórców i fundatorów rodzimej kultury Nowego Świata.

Idealizm!... Prosperity, do której tak przywykliśmy w naszych sądach o Stanach Zjednoczonych, każe się nam zdumiewać, iż właśnie najskrajniejszy idealizm był punktem wyjścia kultury amerykańskiej. Obserwując na ciele dzisiejszej Ameryki straszliwe wrzody korupcji i bandytyzmu, chamstwa, nierządu i kultu złotego cielca, trudno nam pojąć, iż „Kulturalną Deklaracją Niepodległościową" tego narodu są dwa pierwsze utwory idealisty Emerson'a: „Natura" i „The American Scholar", trudno nam zrozumieć, iż najrdzenniejszym powieściopisarzem Ameryki był mistyk Nathaniel Hawthorne, iż najbardziej narodowym jej wieszczem był Walt Whitman, „genjalny leń", którego Chesterton nazywa także Świętym Franciszkiem....

Amerykańscy sekciarze, których Hawthorne jest najwnikliwszym piewcą, amerykańscy komuniści po whitmanowsku wołający na siebie „Comerade", oraz amerykańscy studenci tęskniący za wykładami Emersona, jednaką mają odpowiedź na wszystkie nasze pytania w tej sprawie: — Prosperity winna, iż naród amerykański znikczemniał, Prosperity, otchłań materjalizmu, w którą wpadła kultura Stanów i z której nie mogła się podnieść drapaczami chmur, ani wyjechać fordowskim automobilem...

***

Obchodząc w roku bieżącym stulecie romantyzmu amerykańskiego, święcimy jednocześnie stulecie niezależności kulturalnej Stanów, albowiem mimo, iż ich niepodległość polityczna datuje się od 1776 roku, to jednak dopiero pierwsza podróż młodego Emersona do Europy (1832) jest formalnem wypowiedzeniem wojny tej presji kulturalnej, jaką Stary Świat wywierał na psychikę Nowego.

Życzylibyśmy sobie może widzieć na progu kultury Ameryki zmaterjalizowanej i występnej, postać jakowegoś Morgana, Forda, czy zgoła Al Capone XIX wieku, nie zaś cień Emersona - idealisty, z głową w obłokach, i z nogami w poczciwych pantoflach, kroczącego podtatusiałym truchcikiem po ścieżkach ogródka w prowincjonalnem miasteczku Concord, Mass. Ten otoczony ptaszkami i kwiatkami, drobnomieszczański w domowem pożyciu i z wyglądu typowo purytański pastor Emerson, umie jednakże w książkach i na odczytach wygłaszać rewolucyjne poglądy, sławiąc niezwykłość, nawet awanturniczość życia wielkich „Przedstawicieli Ludzkości", a ciskając gromy na gromady karłów, na zwykły szary tłum zjadaczy chleba, czcigodnych ojców rodzin i poczciwych protestantów.

Emerson na trybunie — to pierwszy w stanach mówca. Damy bostońskie skarżyć się będą, iż po jego przemowie, czy odczycie, niepodobieństwem jest zgrzeszyć nawet myślą przez pół roku, — jednak wy-

blakłych słuchaczów św. Teologji na uniwersytecie w Harvard potrafi on rozruszać i rozpłomienić, ukazując w barwach pokuśnych, a gorących piękno dziko - dziewiczej przyrody, przesyconej pogańską urodą *Over Soul*. Na bujnych prerjach Zachodu i na plantacjach Południa porwie się Ralph-Waldo na nieprawdopodobny czyn i uczyć będzie prostych, nieokrzesanych słuchaczów, by tak myśleli jak myślał Montaigne - Sceptyk... Napoleona sławić będzie Emerson przed ówczesnymi mężami stanu Wolnej Ameryki lat 1812 — 1860, znanymi z korupcji i szerzącymi publiczne zgorszenie, a dla zadyszanych agentów handlowych i giełdowych spekulantów stworzy jedyny w swym rodzaju portret Sokratesa - businessman'a w stylu uliczno amerykańskim.

Nadejdą czasy, gdy rocznie miljon immigrantów zalewać będzie porty Ameryki, miljon wszelkiego rodzaju odpadków Starego Świata, — Emerson jednakże nigdy nie przestanie importować z Europy wspaniałych jedynie kwiatów kultury angielskiej, francuskiej, niemieckiej i starożytnej, — swych herosów, swych „Przedstawicieli Ludzkości".

Z tego trzaskania batem ideału po plecach społeczeństwa, z tego kolportowania wszelkiego rodzaju utopij i szerzenia haseł „niezwykłości życia", musiało z czasem coś wyniknąć. Istotnie, u stóp Mistrza coraz posłuszniej, a coraz zawrotniej tańczyć poczęli uczniowie w rytm jego sugestywnych słów taniec komiczno - makabryczny, znany dziś pod nazwą „Karnawału Purytańskiego".

„Symposium". A więc z początku dookoła stołu przy „transcendentalnej herbatce" u Margaret Fuller zbierają się uczniowie, by sam na sam z Emersonem prowadzić rewolucyjne dyskusje na wszelkie tematy. Tak powstaje rodzaj akademji, czy sekty — Symposium, którego członkowie zwać się będą Transcendentalistami. Dyskusje jednak nie kleją się, Emerson bowiem nie umie prowadzić djalogów, a oratorskie natchnienia zstępują nań tylko wtedy, gdy na widowni widzi przed sobą nabitą salę słuchaczów.

„Dial", czasopismo transcendentalne rodzi się zatem z przygniatającej nudy Symposium. Wszystkie wygnane z Europy utopje Russa, Saint - Simon'a, Fourier'a gotują się wraz z Platonem, Plotinem, Swedenborgiem i Baghavat - Ghitą na każdo - numerową „zupę" duchową transcendentalistów. Maluczko, a ta treściwa nalewka uderzy gościom do głowy i działać każe popijanemu a nagwałt. Galopem tedy skoczą sympozjoniści do czynu i jeden tylko Emerson na placu zostanie.

Takie są dzieje *Brook - Farm i Fruitlands*, najprzedziwniejszych, najsmętniejszych wiosek, jakie kiedykolwiek zbudowano w Nowym Świecie. Na folwarku w Brook - Farm, klasyczny powieściopisarz Ameryki, Nathaniel Hawthorne bez rękawiczek doi krowy i na bosaka pasie trzodę chlewną. Inni współwłaściciele, a jest ich bez liku, odtwarzają w lasach żywe obrazy, odgadują szarady, pasjanse kładą i dyskutują Kanta, czytają „Boską Komedję", a nadewszystko tańczą, tańczą od rana do nocy, na podwórzu i na strychu, między sznurami schnącej bielizny i po obsianem świeżo polu. Koniec idylli jakże tragiczny! — pożar w czasie „tańca wieczornego" pożar, który spali doszczętnie wszystkie zabudowania i postawi Hawthorne'a, głównego właściciela w obliczu skrajnej nędzy. (1846).

Nie lepiej, choć ciekawiej jeszcze dzieje się u „komunistów" w Fruitlands, gdzie rej wodzi Amos Bronson Alcott, zwany Pestalozzim amerykańskim, ten sam, który w latach 1823 — 1836 uczył dzieciaki bostońskie czytać na „Rzeczpospolitej" Platona. On to uważany jest powszechnie za właściwego twórcę „transcendentalizmu", a biografowie Emersona odnajdują liczne ślady jego myśli w książkach mistrza. Tenże Amos Bronson Alcott, któremu sam Don Kichot nie wart butów czyścić, chwyci komunistów z Fruitlands w kleszcze iście klasztornej reguły. Zabroni nie tylko tańca, lecz nawet myśli o uciechach świeckich. Tak więc komuniści nie odziewają się w wełnę, by nie obrażać zwierząt, nie jedzą ani cukru, ani ryżu, jajek, masła, sera, drobiu, ryb, odżywiając się jedynie chlebem pieczonym w formach wyobrażających zwierzęta, których mięso stanowić będzie „tabu", oraz jarzynami dzielącemi się jeszcze na „podłe" i na „szlachetne".

Amos Bronson Alcott, którego Carlyle przezwał „Idyllionem", nie poprzestaje jednak na tych zarządzeniach. Marzy mu się transcendentalne, myślowe obsiewanie roli, współżycie z kurami, krowami i końmi na równych prawach, duchowe ogrodownictwo i sprzątanie izb mieszkalnych „na odległość". Po upadku „komuny" Fruitlands, jeszcze przez lat czterdzieści żyć będzie Bronson Alcott (1799 — 1888) — zawsze pełen zapału, energji i planów jednako niezwykłych.

Tymczasem Emerson niechętnem patrzy okiem na poczynania swych uczniów. Ośmieszają go oni w oczach Europy, na której tak mu zależy i w której zdołał już sobie wywalczyć niebylejaki rozgłos. W Anglji Carlyle, a we Francji pani d'Agoult i Adam Mickiewicz szerzą kult Emersonowskiej Ponad Duszy i jej „najpełniejszych" dzieci, — Przedstawicieli Ludzkości. Uczniowie z Brook-Farm i z Fruitlands bronią się, jak mogą, przed zarzutami mistrza. — Bo i czegoż on od nich chce? Czyż sam nie głosił „niezwykłości" życia?

Ale Emerson grzmi. Ostrzegał ich przecież przed znienawidzonem przez siebie sekciarstwem, a oni głębiej brną w purytanizmie, niż przodkowie, którzy przed dwoma wiekami czmychali z Europy, by w Nowym Świecie zakładać idealną „ojczyznę Pana Boga". Fruitlands — to dla Emersona najwstrętniejszy okaz zacofania i sekciarstwa, podczas, gdy jedynie drogą *„wewnętrznej niezwykłości życia"* można budować od nowa lepszy świat.

Wewnętrzna życia niezwykłość!... Śledząc dzień po dniu Emersonowskie „Światy Przestronne", pamiętnik intymny prowadzony przez kilkadziesiąt lat, chwytamy namacalnie wewnętrzny wzrost autora. W starej plebanji pełnej niesamowitych zjaw, — dawno zmarłego pastora, szepczącego po nocy pacierze i kucharki gotującej niewidzialną kolację, — obok dobrodusznej sylwetki Emersona w pantoflach, to jest takiego, jakim był na codzień dla ludzi, coraz częściej pojawia się na kartach dziennika inne jeszcze oblicze Mistrza, — wewnętrzne, zapatrzone w panteistyczno zmienne przejawy Ponad Duszy i podziwiające ich migotliwą obfitość. Zachwycenie i podziw — oto najgłębsza treść duszy Emersona.

Obok Nathaniela Hawthorne'a, ktory uwiecznił w opowieści starą plebanję i jej pokutujące zjawy, a który z pośród licznych uczniów Emersona zyskał

sobie największą, światową sławę, inny jeszcze uczeń wraz z rodziną Mistrza mieszkał w jego domostwie w Concord. Chociaż brzydszy, jednak łudząco do Emersona podobny zewnętrznie, Henry David Thoreau był tym, który zrozumiał do głębi wartość i znaczenie wewnętrznej niezwykłości, jakiej nauczał Ralph Waldo.

Thoreau posiadał dyplom uniwersytetu w Harvard, nie przeszkodziło mu to jednak spełniać przy boku Emersona roli ogrodnika, lokaja i piastuna dzieci. Ta służba u Emersona miała jednak przerwy, ciągnące się niekiedy latami. W czasie tych „przerw" Thoreau znikał, stawał się niewidoczny dla ludzi, by nad brzegami stawu Walden, w lasach Concord, Maine i Cod pędzić życie leśnego człowieka.

Znał on dzieje wszystkich drzew w lasach okolicznych, znał nazwy i właściwości wszystkich krzewów i ziół, — pozostawił po sobie cały szereg broszur ogłaszanych drukiem za życia i „pośmiertnych" pamiętników, tchnących przedziwną pięknością. Przybiegały doń zwierzęta leśne, by nieraz całemi dniami towarzyszyć mu w jego wędrówkach, a ptaki wtórowały jego serenadom, jakie śpiewał i gwizdał wieczorami do swej kochanki — Selenay — do księżyca w pełni.

W czasie zniknięć, a jedno z nich trwało od lipca 1845 r. do września 1847 r., Thoreau żywił się korzonkami, grzybami i jagodami leśnemi, których zapasy zbierał sobie na zimę, spędzaną parokrotnie w szałasie z gałęzi i z liści. Tłomacz Ajschylosa, Anakreona i Pindara, — Henry David Thoreau z zasady nie bywał w kościele, nie wierzył w chrześcijańskiego Boga, lecz w sobie tylko wiadome godziny rozkwitania najpiękniejszych kwiatów leśnych, modlił się do księżyca i do jutrzenki, do starych dębów i do chmur.

W mitologji amerykańskiej zajmuje Thoreau jedno z najpocześniejszych miejsc, — jest herosem — patronem młodzieży uniwersyteckiej i opiekunem skautów, oraz tych wszystkich, którzy uciekli samotnie od gwarnych skupień ludzkich, by pędzić na łonie przyrody życie „dzikich" ludzi.

***

Tak przedstawiają się w najogólniejszym zarysie kulisy twórczości Emersona, Hawthorne'a i Thoreau, którzy wraz z Alcottem, Channing'iem młodszym, Parkerem, Karolem Lane, Jonesem Very i t. d. tworzyli grupę transcendentalistów, w przeciwieństwie do twórców tej miary co E. A. Poe, Bryant, Melville, Whitier, czy Longfellow, tworzących samotnie i na uboczu od wpływów „Karnawału Purytańskiego".

Każdy idealista ma w sobie coś z Don Kichota, niechże nas zatem nie dziwi komizm zakulisowego życia wielkich aktorów kultury amerykańskiej. Groteskowość naszego towianizmu, czy naszej „Młodej Polski" nasuwa się mimowoli, jako nader pożyteczna analogja do zrozumienia całej *wielkości* komizmu „Purytańskiego Karnawału".

Jest to komizm tragiczny. Wyrasta ponad przepaścią dzisiejszej Ameryki, dziwnie daleki i obcy wobec teraźniejszego komizmu ludzi okresu Prosperity, ludzi płaskich, przyziemnych, ubogich z całem swem bogactwem maszyn i towarów. Prosperity zwiększyła nieprawdopodobnie zasięg przemysłowej wytwórczości Ameryki, lecz jakże zubożyła duszę jej człowieka!... Na tle dzisiejszych Stanów Zjednoczonych E. A. Poe wygląda conajmniej egzotycznie, Emerson straszliwie obco, a Hawthorne niesamowicie.

Należy uważać za objaw niezwykle pomyślny dla kultury Stanów Zjednoczonych fakt, iż w różnych ośrodkach wielkiej republiki przecierają się różnym ludziom oczy w stosunku do Prosperity ekonomicznej, która na przestrzeni kilkudziesięciu lat zabierała zda się bez reszty energję społeczeństwa.

Jerzy Kornacki

REFLEKSJE

»GÓRA« SIĘ OBSUNĘŁA...

Przyzwoitości narodowej stało się zadość. Pamięć Stanisława Wyspiańskiego uczczono, jak należy.

Gazety uświadomiły czytelników o roli i wielkości dzieł Wyspiańskiego. Literaci, dziennikarze, krytycy artystyczni, profesorowie zadokumentowali swój entuzjazm. Teatry złożyły swój hołd przez dobre spektakle. Instytucje społeczne urządziły akademje.

Tak: przyzwoitości narodowej stało się zadość.

A teraz — w imię prawdy i dla pożytku obywateli — należałoby zastanowić się nad pytaniem: czy poza zbożnym entuzjazmem okolicznościowym istnieje w społeczeństwie prawdziwy, trwały, głęboki kult dla twórczości Wyspiańskiego? Źle sformułowane pytanie. Poprawmy je. Usuńmy wyraz „kult". Nie wymagajmy za dużo — w czasach naszych... Więc poprostu, skromnie i umiarkowanie: czy szersze warstwy narodu interesują się dziełem Wyspiańskiego? Czy jest im blizki? Czy książki Jego są czytane? Czy do teatru na sztuki Wyspiańskiego publiczność chętnie się udaje?

Mówią nam i piszą, że sztuki Wyspiańskiego nie przemawiają do dzisiejszego pokolenia, bo Polska jest już niepodległa, przeto Jego wizje patrjotyczne straciły swój sugestywny czar. To wybieg. Tem szkodliwy, że nas uspakaja. Nie, nie dlatego dzisiejsze pokolenie oddaliło się od Wyspiańskiego, że Polska jest już państwem niepodległem. Cudowna twórczość Wyspiańskiego obejmowała inne jeszcze horyzonty ducha, wielkie i wieczne.

Pocóż się okłamywać?

Na obchodach mówi się słusznie, że to wieszcz, że to jeden z największych poetów w dziejach rodzaju ludzkiego. Niewątpliwie: Sofokles, Szekspir, Goethe, Wyspiański... Ta ranga. Te szczyty.

Ale w realnem życiu duchowem dzisiejszego społeczeństwa te wartości, jakie dał Wyspiański, nie grają roli odczuwalnej. Ani w warstwach narodu oddolnych, ani w odgórnych — wśród elity.

Literatura i poezja ma dla społeczeństwa dzisiejszego o wiele mniejszą wagę, niż się to wydaje literatom i poetom.

Że Wyspiański nie dotarł jeszcze „pod strzechy" — rzecz to zrozumiała, ale że nie promieniuje swoją wspaniałością wśród elity — to już jest wyraźny znak, że elita owa ulega kulturalnej degradacji.

W znakomitej książce p. t. „Zagadnienia kultury duchowej w Polsce", pisze prof. dr. Leon Chwistek:

„Przeżywamy niezmierne podniesienie się kultury w warstwach szerokich i równoczesne skurczenie się i obniżenie elity umysłowej. Ambicja twórcza podnosi się niezmiernie w zakresie dostępnym warstwom szerokim, obniża się w sposób widoczny na wyżynach. Ten stan rzeczy jest niewątpliwie konsekwencją przewrotu społecznego, wywołanego wojną. Mam przekonanie, że w tej formie, w jakiej ten przewrót dokonał się u nas, nietylko nie jest on dla kultury niebezpieczny, ale może stać się podstawą olbrzymiego rozkwitu. Do tego potrzebne jest tylko podniesienie się ambicji twórczej tak zwanej elity umysłowej i uniezależnienie się jej od spływających wpływów zewnętrznych."

Bagatela! „Tylko" podniesienie się twórczej ambicji elity...

Narazie jest tak: „dół" dźwiga się, lecz *jeszcze* nie dorósł do poziomu, na którym przyjmuje się pokarm najwyższego gatunku duchowego, „góra" zaś obsunęła się, jej szczyty są niższe, jej wymagania i potrzeby *już* o tyle mniej ambitne, że również takiego pokarmu nie pożąda.

***

W Warszawie powstał niedawno Instytut Propagandy Sztuki, popularnie „Ipsem" zwany. Ma śliczny gmach na Placu im. Marszałka Piłsudskiego. Gmach zewnętrznie szlachetny, sale piękne, całość wysoce estetyczna. Wystawy obrazów i rzeźb oraz odczyty o sztuce miały utrzymać ten Instytut.

Już w pierwszych tygodniach istnienia Instytutu okazało się, że to utopja. Publiczność zawiodła. Frekwencja była śmiesznie i tragicznie mała.

Cóż było robić? Parę sal, gdzie miały się mieścić tylko obrazy i rzeźby, przeznaczono na kawiarnię. Zrobiło się rojno. Żeby było jeszcze rojniej, co kilka dni — kabaret. Ludzie przychodzą, budżet się poprawił.

To pouczające: żeby utrzymać Wystawę dzieł sztuki, trzeba było połączyć ją z kawiarnią i kabaretem. Bo „szczyty" są niższe, bo „góra" się obsunęła....

Stąd smutny impas: „dół" jeszcze nie podniósł się w tym stopniu, by zrównoważyć duchowe skurczenie się góry...

Wszystko zdaje się przemawiać za tem, że dotychczasowa góra nie będzie już wyższa i większa i że raczej z „dołu" przyjdzie nowy rozkwit.

I od tego zależy kulturalna przyszłość świata.

Widz

ODGŁOSY

NIE WOLNO ŚMIECIĆ!

„Nie wolno śmiecić... piórem!" Taki napis powinien wisieć na ścianach wielu pokojów redakcyjnych, przypominając personelowi dziennikarskiemu, że język ojczysty jest własnością narodową, którą szanować należy, conajmniej narówni z własną godnością zawodową i z czystością narzędzi pracy. Pośpiech, często nieunikniony w przygotowaniu materjału dla drukarni, bynajmniej nie usprawiedliwia zaśmiecania języka artykułów. Ci, którzy w tem niechlujstwie celują, zazwyczaj nie zdają sobie sprawy ze swego— że użyję doskonałego neologizmu Boy'a osielstwa, więc popełnialiby te same błędy językowe, gdyby mieli trzy razy więcej czasu na przygotowanie skryptu.

Źródłem tej propagandy zaśmiecania polszczyzny przez „ludzi pióra", karygodnej, bo narzucającej błędy masie czytelniczej, nie jest brak czasu, lecz nieuctwo i brak wyczucia ducha języka, którego się używa za narzędzie do wypowiadania swych myśli. Czasem jest to poprostu niedbalstwo i brak poczucia odpowiedzialności.

Zdarza się niestety, że i pisarze, godni tego imienia, aprobują „prawo obywatelstwa", nadane przez śmieciarzy językowych jakiemuś dziwolągowi, czy barbaryzmowi.

Nie idzie tu o wprowadzanie do słownictwa polskiego ogólnie przyjętych terminów z dziedziny polityki, sportu, czy innych zjawisk życia nowoczesnego, mających charakter międzynarodowy. Drażliwy purysta językowy sam staje się twórcą dziwolągów i jest figurą groteskową i przez to bez wpływu. Idzie tu o elementarną *schludność* języka, której potrzeby nie zaprzeczy żaden człowiek oświecony, — o to, żeby w dziedzinie hygjeny mowy ojczystej postępować tak, jak człowiek kulturalny postępuje w dziedzinie czystości cielesnej, używając szczoteczki do zębów zamiast palca.

Codziennie spotyka się na szpaltach pism wiadomość, że taki a taki znany zawodnik sportowy „ćwiczy", to lub owo. *Ćwiczyć* znaczy po polsku: bić, chłostać — więc ćwiczyć można tylko „kogo", nie „co". Można natomiast „ćwiczyć się" w różnych umiejętnościach i należy ćwiczyć się między innemi, w umiejętności władania językiem polskim. Kto bierze się do pisania, a nie zna elementarza polszczyzny, wart żeby go *oćwiczyć*.

I choćby „w pierwszym rzędzie" zależało mu na treści podawanej informacji, należy go posadzić „w ostatnim rzędzie", na oślej ławce kursów wieczornych dla półanalfabetów.

Gdzie jesteś, nieznany ogółowi wynalazco nowopolskiego zwrotu „oddawać strzały"? Odezwij się, byśmy cię mogli odpowiednio uczcić za to zbogacenie mowy polskiej nonsensem.

Nie przypominam sobie, żebym spotkał kiedy to wyrażenie w Polsce pod zaborem rosyjskim. Można oddawać to, co się komu należy — więc można nietylko oddawać dług, lecz i „oddawać honory wojskowe". Jeżeli „ścigany bandyta *oddał do* goniącego go *policjanta* trzy *strzały* z rewolweru" — to znaczy, że te strzały *należały się* policjantowi. Czy to miał na myśli reporter, informujący przedtem, że „oddaw-

na już *śledzono za przestępcą*", lub „szukano *za sprawcą* zbrodni" i — oczywiście „w pierwszym rzędzie" — podejrzeie padło na osobnika, znanego, dajmy na to, pod przezwiskiem Ponętny?...

Jakże nieponętnym osobnikiem jest sprawca szerzenia infekcji językowej w prasie polskiej, żyjącej pod trójzaborem śmieciarzy!

Czy Syndykat Dziennikarzy Polskich jest innego zdania?...

Wacław Rogowicz

SIEDMIU MURZYNÓW Z SCOTTSOBORO

Powieść Andrejewa o siedmiu powieszonych omal nie powtórzyła się w Ameryce. Siedmiu murzynów skazał sąd w Scottsboro w stanie Alabama na karę śmierci. Przed sądem stanęli pod zarzutem dokonania gwałtu na dwóch białych kobietach w pociągu towarowym. Na nic nie zdały się usprawiedliwienia siedmiu oskarżonych, że zarzuty prokuratora są niesłuszne, że w wagonie było kilku białych mężczyzn, którzy stwierdzić mogą niewinność murzynów, że wreszcie kobiety - oskarżycielki są osobami lekkiego prowadzenia się i nie zasługują na zaufanie. Na nic nie zdały się łzy i przysięgi biednych czarnych trampów! Sąd wolnej republiki Północno - Amerykańskiej wymierza sprawiedliwość według „humanitarnej", kwakierskiej zasady: rację ma zawsze człowiek o białej skórze. Postępowanie trwało krótko; murzynom nie dano nawet możności bronienia się: wszyscy siedmiu skazani zostali na karę śmierci.

Wyrok poruszył opinję społeczną Stanów Zjednoczonych. Powtórzyła się sprawa Sacca i Vanzettiego. Sumienie światłych Amerykan wstrząśnięte było do głębi. Posypały się depesze do prezydenta Hoovera, potworzono komitety obrony siedmiu murzynów z Scottsboro, założono skargę do Sądu Najwyższego. Murzyni demonstrowali w Waszyngtonie z transparentami „Uwolnijcie chłopców z Scottsboro!" i dostawali razy od chroniącej porządku i sprawiedliwości policji. Sąd najwyższy Federacji Północno - Amerykańskiej ostatecznie skasował wyrok stanu Alabama.

Orzeczenie swe oparł na art. 14 Konstytucji, głoszącym, że „żaden stan nie może pozbawić obywatela życia, wolności lub własności, zanim nie przeprowadzi *właściwego* postępowania prawnego". Stwierdziwszy, że sąd wyrokujący nie dopuścił do należytej obrony oskarżonych, sąd najwyższy doszedł do wniosku, że *właściwe* postępowanie prawne było pogwałcone.

Sędzia Sutherland, który brał udział w rozprawie alabamskiej, i został przegłosowany, stwierdza obecnie, że sąd nie badał wcale winy lub niewinności, oskarżonych (!). „A przecież", powiada sędzia, „było obowiązkiem trybunału dopilnować, aby oskarżeni nie byli pozbawieni żadnego uprawnienia rzetelnego postępowania sądowego (fair trial)". I wreszcie najbardziej rewelacyjne wyznanie: przez cały czas postępowania — od postawienia ich w stan oskarżenia aż do rozpoczęcia rozprawy — oskarżeni nie mieli właściwie żadnej pomocy prawnej. Młodzi, ciemni analfabeci, otoczeni wrogim nastrojem, wleczeni tam i z powrotem przez konwój żołnierzy, oskarżeni o straszną zbrodnię, ze zgrozą obserwowani przez tę społeczność, która miała ich osądzić, — byli już jakby pozbawieni życia w chwili, gdy obrońca podjął pierwszą swą czynność. Nie poczyniono żadnych usiłowań dokładnego zbadania okoliczności sprawy. Nie dano nawet możności dokonania tego. Oskarżonych natychmiast popędzono na rozprawę.

Już ta garść faktów, przytoczonych przez bezstronnego sędziego (notabene jednego z najbardziej konserwatywnych członków trybunału), wystarczy, aby się przekonać, jaki triumf święci swoista „sprawiedliwość białego człowieka". Coprawda, sądy amerykańskie wyrobiły sobie ostatnio już właściwą renomę głośnemi wyrokami w sprawie Sacca i Vanzettiego, oraz w „małpiej" sprawie w Dayton.

Sprawa wraca obecnie do Alabamy. Oprawcy już zacierają ręce. Przecież ofiary nie umkną im, a skazać ich będzie można niemniej surowo z zachowaniem wszystkich formalności, wymaganych przez fair trial. „Montgomery Advertiser" deklamuje po faryzeuszowsku: „Alabama nie życzy zła żadnemu człowiekowi, i *nie uważa, aby skrzywdziła tych ludzi*. Alabamę oburza dyshonor, z jakim łączą jej nazwę nieodpowiedzialni agitatorzy. Jeśli jednak i niezainteresowane, odpowiedzialne umysły mają jakąkolwiek rozsądną wątpliwość co do rzetelności pierwszej rozprawy, chętnie godzimy się na nową. Alabama staje wobec świata z czystem sumieniem i nie poczuwa się do niczego!..."

SŁOWA GROŹNEJ PRAWDY

Podczas debat rozbrojeniowych w angielskiej Izbie Gmin, dłuższe przemówienie wygłosił przywódca konserwatystów, Stanley Baldwin. Przemówienie to wywarło wielkie wrażenie i wywołało liczne odgłosy w prasie europejskiej i amerykańskiej. Słowa Baldwina, proste i uczciwe, stanowią wymowny dokument naszych czasów.

Oto parę wyjątków:

„Według mego przekonania likwidacji wojen nie osiągnie się przez rozbrojenie. Wojna zniknie wtedy, gdy zdecydujemy się na pokój. Najwyższym obowiązkiem polityki jest usuwanie przyczyn, mogących wywołać wojnę. Rozbrojenie może tylko utrudnić wybuch wojny. Musimy się starać, aby te utrudnienia były jeszcze większe, aby opłacalnosć prowadzenia wojen była coraz mniejsza.

Wiele lat poświęciłem studjom nad tą kwestją. Obowiązki moje uczyniły mnie na przeciąg pięciu lat prezydentem „Comitee of Imperial Defense". Przez dziesięć lat byłem członkiem tego komitetu i w ciągu tej pracy kwestja szczęścia lub zagłady rasy ludzkiej najbardziej leżała mi na sercu.

Aż do czasu ostatniej wojny ludność cywilna była wyłączona ze strefy niebezpieczeństwa. Ludność cywilna cierpiała głód, ponosiła wielkie ofiary, tracąc na froncie synów, ojców i najbliższych krewnych, lecz obecnie żyje ona pod obuchem strachu, że sama może zginąć wskutek ataków bombowych. Ale wątpię, czy wielu z pośród odczuwających te obawy, zdaje sobie sprawę z tego, jakie dwa czynniki powodują ten strach.

Pierwszym z tych czynników jest możliwość szybkiego ataku wskutek włączenia powietrza do akcesorjów wojny współczesnej. Stosunek szybkości ataku powietrznego do ataku lądowego jest taki sam, jak stosunek szybkości auta do szybkości wozu.

Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli człowiek z ulicy dowie się, bez względu na to, co mu inni powiedzą,

że żadna siła na ziemi nie zdoła go uchronić od skutków tego bombardowania. Żaden rzeczoznawca nie powie wam, że możliwa jest jakaś obrona na wypadek najazdu nieprzyjacielskich aeroplanów. Jedyną możliwością obrony jest atak, to znaczy, że jeśli chcecie się bronić, to sami musicie wcześniej zaatakować nieprzyjaciela, aby go do siebie nie dopuścić.

Mam wrażenie, że na kontynencie świadomość ta jest bardziej rozpowszechniona niż u nas na wyspie. Otrzymuję raporty, z których wynika, że w różnych punktach kontynentu poucza się ludność cywilną, jak ona ma się zachowywać w razie napadów powietrznych. Wygłasza się na ten temat odczyty z przezroczami, urządza się pokazy. Istnieją nawet projekty ewakuowania ludności cywilnej w czasie wojny z terenów, najbardziej zagrożonych. Przypominam sobie, że w naszych angielskich pismach ilustrowanych widziałem nawet zdjęcia owych eksperymentów obronnych. Chciałbym przytem zwrócić uwagę na pewien szczegół, a mianowicie — w czerwcu 1925 roku 28 państw złożyło swe podpisy pod protokułem genewskim w sprawie wojny gazowej!... A teraz widzę, że eksperymenty, dokonywane na kontynencie, mają pouczyć ludność, jak ona ma się bronić przed atakami gazowemi!

Nie chcę bynajmniej ukrywać, że my we własnym kraju również przygotowujemy środki ochronne. Strach to okropna rzecz. Może mają rację ci, którzy twierdzą, że ten strach właśnie jest do pewnego stopnia środkiem przeciwko wojnie, ale z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że ten sam strach rodzi konieczność zwiększenia zbrojeń, aby obrona była tem pewniejsza.

Nie zapominajmy, że właściwie wojna powietrzna znajduje się dopiero w powijakach i że możliwości jej są nieograniczone. W jaki sposób narody starają się usunąć niebezpieczeństwo tej wojny?... Muszę przyznać, że im dłużej badałem tę kwestję, tem większe ogarniało mnie zwątpienie na widok bezowocnych prób, podejmowanych w tej dziedzinie. W Genewie stracono wiele czasu na dyskusje, zmierzające do tego, aby zakazać bombardowania ludności cywilnej i wogóle rzucania bomb.

Zakaz bombardowania ludności cywilnej — będzie dopóty bez znaczenia, póki wogóle będzie możliwe jakiekolwiek bombardowanie.

W czasie ostatniej wojny były całe tereny, na których fabrykowano amunicję. W czasie przyszłej wojny będzie ona odgrywała niemniejszą rolę i dla nieprzyjaciela ważną będzie rzeczą, aby tereny te zniszczyć. A dopóki zniszczenie takie możliwe będzie przy pomocy bomb zakaz bombardowania nie będzie miał żadnego znaczenia w praktyce wojennej.

Sprawa samolotów bombowych i bombardowania, po dokładnem rozważeniu, prowadzi do następujących 2-ch wniosków.

Pierwszy, że niema pewności, czy nawet układ, zawarty w sprawie zakazu rzucania bomb, będzie należycie respektowany. Ja osobiście bardzo o tem wątpię. Nie chcę przez to nic złego powiedzieć przeciwko dobrym chęciom naszego lub innego narodu. Jeśli ktoś, posiadający skuteczną broń, przyciśnięty zostanie do muru i stanie w obliczu grożącej mu śmierci, to przecie jasną jest rzeczą, że skorzysta z tej broni bez względu na złożone przyrzeczenie niekorzystania z niej. Doświadczenie nauczyło nas, że w czasie wojny wszelkie układy tracą swą moc.

Chciałbym Wysokiej Izbie przypomnieć przykład, jaki przytoczyłem przed kilku tygodniami, przykład na temat owych przygotowań na wypadek ataków gazowych, a więc tego materjału wojennego, który w myśl protokułu genewskiego z 1925 roku jest formalnie zakazany. Powiem jeszcze więcej i przypomnę Wysokiej Izbie deklarację londyńską, posiadającą moc prawną w 1914 roku, a która powoli zamieniała się w strzępy, aż wreszcie na wiosnę 1916 roku ostatnie jej resztki zapadły się w morze.

Chciałbym ponadto przypomnieć Izbie jeszcze dwa wypadki z ostatniej wojny. Wszyscy pamiętamy jeszcze, jak wielki alarm podniósł się, gdy poraz pierwszy zastosowano gaz do celów wojennych. A wkrótce potem sami skorzystaliśmy z tej broni!... Przypominacie sobie pewnie również, jak wielki powstał alarm, gdy poraz pierwszy zbombardowano nieufortyfikowane miasta. A wkrótce potem sami zaczęliśmy bombardować. To jest zrozumiałe.

Co się tyczy broni powietrznej, to słusznie już ktos zauważył, że niema sposobu na rozbrojenie w tej dziedzinie dopóki istnieć będzie lotnictwo. Nie było jeszcze wypadku, aby ludzkość zrezygnowała ze zdobytego wynalazku".

FILM

DREWNIANE KRZYŻE

Wśród paru filmów wartościowych, jakie ostatnio niemal równocześnie pojawiły się na naszych ekranach, należy przedewszystkiem, wymienić „Drewniane krzyże" Raymonda Bernarda, — jeszcze jedno bolesne zwierciadło krwawego oblicza wojny.

U wielu widzów film ten nie znajdzie uznania. Niema w nim akcji jednostkowej, niema upoetyzowanego bohatera, ani wielkich porywających haseł, ani żadnej tendencji, ani happy-end'u.

Pod tym względem jest to film w swoim rodzaju jedyny. W szeregu prostych lapidarnych obrazów, opartych ściśle o autentyczne fakty, bez upiększeń i przerostu brutalnego realizmu, jak to widzimy w wielu filmach wojennych, przewija się historja obrony cmentarza w Souchez i walk w okopach Notre Dame de Lorette.

Niektóre sceny, jak przedzieranie się przez gruzy zniszczonej wioski pod gradem ognia nieprzyjaciół, rozpaczliwa walka na cmentarzu, defilada obdartych zabłoconych „poilus" przed frontem nowicjuszów, ukazane są z mistrzowskim realizmem.

Pełen ponurego tragizmu jest ten najściślejszy, najbardziej wiarogodny dokument wojny. Jest surowy, nagi, bezlitosny. Zastygłe oczy ostatniego umarłego żołnierza, na polu zasłanem trupami, lśnią zimnym blaskiem beznadziei.

Bo przecież jutro może być to samo...

BEZDOMNI

Reżyser sowiecki Mikołaj Ekk nie zawahał się dotknąć jednej z największych bolączek dzisiejszej Rosji, klęski wielotysięcznej rzeszy bezdomnych dzieci, „bezprizornych", które włóczą się po miastach i wsiach całego kraju bez celu, pracy i opieki, niszcząc co spotkają na drodze, wyrządzając niezliczone szkody.

Zrodziła tych włóczęgów ulica, wyhodował ich głód, szkołą była im nędza i występek.

Na te dzieci zdziczałe, drapieżne, zżarte chorobami i nędzą, okryte cuchnącemi łachmanami, zwiędłe i postarzałe nim zdołały wyrosnąć, urządza się od czasu do czasu obławy.

Film Ekka jest historją eksperymentu pedagoga, który z odwagą, wiarą i miłością zbliża się do tej bandy straceńców, chcąc ich skierować na drogę pracy i wprowadzić w ramy ładu społecznego. Z radosnym rozmachem młodej energji i z ufnością, że dobro wyzwala się za pomocą dobra, wiedzie ich ze sobą bez konwoju, złodziejowi powierza pieniądze, staje się przyjacielem i bratem tych młodych wykolejeńców, pracuje z nimi jak równy z równymi.

I dzieło jego wydaje bujny plon — przemienia dusze, tworzy ludzi.

Aktorem filmu jest tłum. Prawdziwa jest ta nędza i prawdziwe łachmany. Przywódcę młodzieży, Mustafę, gra mongoł Iwan Kirła, który wspaniałą grą dorównywa Inkiszinowi z „Burzy nad Azją".

C Z E M P

Film ten czaruje i wzrusza. Treść filmu: dzieje miłości wzajemnej syna i ojca. Ojciec, były mistrz boksu, rozpił się, rozleniwił, poprostu „zeszedł na psy". Opuściła go żona, stracił majątek.

Jedyną jego ostoją jest uczucie do małego synka. Dink odpłaca mu równą miłością, gorącą, pełną nieskończonej czułości i oddania. Nic nie może rozłączyć tej pary: lekoducha-ojca i dobrego rozumnego dziecka. Rozdziela ich dopiero śmierć Czempa, który z miłości dla dziecka, dla zapewnienia mu dobrobytu, staje do barbarzyńskiego meczu bokserskiego. Ostatni cios, który przyniósł mu wygraną, był zabójczy.

Dinka gra cudowne dziecko, Jackie Cooper. Gra jego jest wspaniała. Na dziecinnej twarzyczce z niezwykłą wyrazistością przepływają najsubtelniejsze tony uczuć; smutek i radość, rozpacz i męstwo, uśmiech wykwitający na zasmuconej buzi i łzy w przejrzystych oczach, mają wyraz fascynujący.

J. B.

„Epoka" jest posterunkiem ideowym, który służy najwznioślejszym hasłom naszych czasów.

JEDNA Z POTRAW KAPITAŁU

Kiedy czytamy o krwawych rozprawach, jakie tak często wybuchają w Ameryce Południowej, nie zdajemy sobie dobrze sprawy ze źródeł istotnych tego stanu rzeczy. A tu właśnie znajdujemy wyjątkowo jaskrawą naukę o roli politycznej międzynarodowego kapitału. Wiele światła na krwawe machinacje kapitału w Ameryce Południowej rzuca artykuł p. Octavio Brandao zamieszczony w jednym z ostatnich numerów *„La Correspondance Internationale"*. Nawiązując do ostatniej rewolucji separatystów stanu Sao-Paulo w Brazylji, zaznajamia nas autor ze stanem posiadania wielkich kapitalistów amerykańskich, angielskich, francuskich i włoskich o stanie Sao-Paulo. Nietylko ogromne obszary plantacyj kawy, pola naftowe, koleje żelazne, plantacje bananów, siła wodna, rafinerje cukru, elektrownie, telefony i t. p. na przestrzeni Stanu Sao-Paulo są własnością cudzoziemców, lecz także oficerowie wojsk powstańczych i leaderzy stronnictw politycznych są marjonetkami w rękach zwalczających się wzajemnie imperjalizmów Wielkiej Brytanji i Stanów Zjednoczonych.

Prócz płatnych i zawsze do usług gotowych „patrjotów", zarówno Wall Street, jak London City posiada „mniej więcej niewiernych" sprzymierzeńców w postaci kapitalistów francuskich, japońskich, włoskich i t. d., którzy za różnego rodzaju ustępstwa i koncesje wspomagają swemi wpływami to jedną, to drugą z wielkich potęg. Walki zacięte toczą się między New-Yorkiem a Londynem o każdą nową linję kolejową na terenie stanu Sao-Paulo, o każdą gałąź przemysłu „brazylijskiego" i o każdy rynek zbytu. Ilekroć na pewien okres czasu jedna z potęg walczących zyska sobie dominujący wpływ, odrazu pod jej sztandarem skupia się grupa zawodowych patrjotów, gotowych walczyć z armją narodową o „niepodległość" i „niezawisłość" swego stanu.

Zarówno Brazylja, obfitująca w ropę naftową, złoto, kauczuk, drzewo, kawę, węgiel, jak inne bogate kraje południowo-amerykańskie są kością niezgody dla imperjalizmów wielkich państw kapitalistycznych, żądnych prawa „wyłącznej własności" w swych pół-kolonjach, a zatem pragnących protektoratu, który ma to do siebie, iż pozwala kolonizować bezludne obszary „swymi" ludźmi.

Pisząc o „bratniej samopomocy" obcych kapitałów w Brazylji, p. Brandao zaznacza iż „kapitaliści włoscy, jak nprz. przemysłowiec Matarazo, hrabia papieski spowinowacony z kwiatem arystokracji włoskiej, eksploator 100.000 robotników, przemytnik kawy i ex - sprzedawca świń wymógł na Mussolinim i na królu włoskim, by zmusili oni rząd Vargasa do uznania żądań wojowniczych rewolucjonistów Sao Paulo. Ile jednak ci kapitaliści zażądają od rewolucjonistów za swą pomoc?..."

„Co się tyczy Wall Street, to pragnie ona zagarnąć także Rio Grande do Sul, oraz Fordlande, zasobne w mięso, węgiel, kauczuk i naftę. Faszyzm włoski pragnie narazie tylko koncesyj w Sao Paulo, a imperjalizm francuski zadowoli się terytorjum Amapa w pobliżu Guany, obfitującem w złoto, kauczuk i drzewo. Jeśli chodzi o imperjalizm japoński, to ma on już mocne pozycje w Iguape, Cananea, Parintins, Acara i Monte Alegre na północy. Imperjaliści pragną podzielić, skolonizować Brazylję".

DONKISZOTERJA REAKCJI

Pracę inż. E. Landsberga*), cechuje fragmentaryczność wywodów. Wynika ona ze ścieśnienia kwestji kryzysu do jego przejawów w Polsce. Zagadnienia obecnej depresji nie można związać i dyskutować w oderwaniu od przesilenia światowego. Autor upraszcza zagadnienie. Winą obarcza rząd, społeczeństwo, doktrynerstwo poczynań. Depresję gospodarczą Polski odrywa od tła i przejawów ogólno-światowych. Takie założenie rozstrzyga również o uproszczeniu wniosków: kryzys polski załagodzi energiczna akcja rządu. Symplicyzm takiej koncepcji rażąco odbija od tezy, zyskującej coraz silniejsze oparcie naukowe, a która mówi o strukturalnym charakterze depresji.

Zjawisko kryzysu w Polsce sprowadza p. Landsberg do kilku przyczyn, a do podstawowych należą: etatyzacja, bezplanowe inwestycje o charakterze przeważnie konsumcyjnym, a przedewszystkiem przerost ciężarów socjalnych, nadmiernie według autora obarczających produkcję. Rzeczą znamienną jest właśnie upatrywanie w ubezpieczeniach socjalnych silniejszej i na każdym odcinku gospodarki wpoprzek stojącej przeszkody. Autor stawia tezę, że *stałość i wzrost cyfr bezrobocia spowodowane są istnieniem w tej dziedzinie ubezpieczenia.* Lekarstwo to powodować ma postęp i pogłębienie choroby. Paradoksalność tego twierdzenia staje się przejrzysta, gdy uwzględnimy naczelną wytyczną wskazań autora, który wysuwa postulat elastyczności płac. Świadczenia Funduszów Bezrobocia, twierdzi on, ustalają niejako minimalny poziom płac, poniżej którego robotnikom nie opłaca się pracować. Zwiększenie tedy stanu zatrudnienia i produkcji na drodze taniej kalkulacji robocizny jest niemożliwe; ubezpieczenie od bezrobocia zwiększa bezrobocie. Argumentację tę popiera autor posiłkowym dowodem, że istnieje paralela między wzrostem płac realnych, a wspinaniem się cyfr bezrobocia. Przytacza wykres oparty o dane statystyczne na terenie Anglji za okres lat 1919-30.

Tezie tej przeczy przykład rozbieżności linji płac realnych i bezrobocia w Polsce za okres 1926-28, co autor stara się wytłomaczyć ubocznemi wpływami pomyślnej konjunktury wywozowej.

Rozważania o bezrobociu zamyka radykalny wniosek: ubezpieczenie od bezrobocia należy przekreślić. Nadmiernie obciąża produkcję, usztywnia poziom płac, powoduje spadek zatrudnienia. Na miejsce obecnego ubezpieczenia wysuwa autor nikłą koncepcję rent dla robotników starszych, których należy dla względów oszczędnościowych przesiedlać na wieś. Z przytoczonych wykresów ma wynikać, że po przekroczeniu 50 lat robotnika trzeba bezwzględnie zwalniać od pracy, a to naskutek katastrofalnego spadku wydajności pracy.

Zreasumujmy: skasowanie ubezpieczenia od bezrobocia umożliwi kształtowanie płac zgodnie z prawem podaży i popytu.

Zniżka płac spowoduje potanienie produkcji, zwiększy jej rozmiary — a cyfry bezrobocia zaczną spadać.

Jakie jeszcze czynniki wpłyną na zmniejszenie kosztów wytwarzania, uczynią produkcję rentowną— co jest kardynalnym warunkiem kapitalizacji i uzdrowienia stosunków?

Zwężenie, a w miarę możliwości, skasowanie ustawodawstwa socjalnego jest pierwszym etapem. Po generalnej rozprawie z ubezpieczeniem od bezrobocia, nawołuje p. Landsberg do zniesienia Kas Chorych, ubezpieczenia od wypadków i „niedorzecznej" płatności urlopów.

Równolegle z akcją w dziedzinie ubezpieczeń winna iść jako jej dalszy ciąg „troska o wewnętrzną kapitalizację", nawrót prokapitalizacyjny: zaprzestanie nierentujących się inwestycyj, usprawnienie przedsiębiorstw państwowych, zerwanie z etatyzmem i bezcelową a nawet „szkodliwą, daleko posuniętą ingerencją państwa w życie gospodarcze".

W połączeniu z wydatnem zredukowaniem kosztów produkcji drogą obniżenia płac i świadczeń socjalnych da to możność „przetrwania" kryzysu.

Postulaty inż. E. Landsberga są jasnem, przystępnem sformułowaniem życzeń i poglądów wielkiego przemysłu w Polsce. Noszą wyraźne piętno jednostronnej orjentacji, czego nietylko dowodzi postawa autora w kwestji socjalnej, ale i potraktowanie kryzysu w rolnictwie na bardzo wąskim marginesie rozważań o produkcji przemysłowej.

Koncepcje autora niedalekie są od wrześniowych dekretów rządu Rzeszy. (Autor również zaleca sanację gospodarki przez rząd drogą pozaparlamentarną). Zarządzenia Papena wprowadzają t. zw. premjowanie stanu zatrudnienia, przyznając pracodawcy prawo samodzielnej obniżki płac w ramach określonej progresji procentowej, sięgającej do 12.5%. Jednocześnie podważa się zasadę umów zbiorowych, nadając instytucji rozjemstwa prawo dostosowania płac do wymogów chwili w granicy 20-procentowej obniżki. Postulat elastyczności płac został tu w pełni zrealizowany.

***

Wielki przemysł organizuje wypady i ataki przeciw zdobyczom polityki socjalnej, która w ujęciu „teoretyków" tego obozu staje się jedynie aktem humanitaryzmu.

Zacofanie socjalne stara się przesłonić swoje oblicze argumentem o niebezpieczeństwie „względów humanitarnych" w dobie kryzysu. Należałoby chyba zacząć systematyczny wykład o tem, że polityka socjalna nie jest bynajmniej aktem ofiarności, filantropji — lecz wyrazem i niepełną jeszcze realizacją olbrzymiej wagi potrzeb społecznych. Projekty, godzące w zdobycze socjalne przy jednoczesnem przesunięciu zagadnienia na tory „altruizmu", czy „humanitaryzmu" są wyrazem wstecznictwa społecznego, któremu brak poczucia rzeczywistości współczesnej. Jest to donkiszoterja reakcji.

Józef Szpecht

*) *Inż. E. Landsberg:* Uwagi w sprawie kryzysu gospodarczego w Polsce. Warszawa 1932. Nakładem F. Hoesicka.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Wielką burzą rozpoczęła się sesja izby deputowanych we Francji. Dwie groźne interpelacje: o nadużyciach podatkowych jedna, o sfałszowanych dokumentach w koncernach lotniczych — druga.

Rewelacje ogłaszają deputowani socjaliści, — w pierwszym wypadku — p. Albertin, w drugim Renaudel. Obaj nie należą do większości obecnej koalicji rządowej. Izba w komplecie, trybuny dla publiczności oblężone od rana do późnej nocy, pisma przepełnione sprawozdaniami stenograficznemi z parlamentu.

Pierwsza z interpelacji zawiera oskarżenie pod adresem 1018 (jak później okazało się nawet 1090) obywateli, należących do sfer nietylko posiadających, ale bogatych i ustosunkowanych, oskarżenie o to, że nie wpłacano podatku od walorów zagranicznych.

Osiągano to w ten sposób, że sprytni ajenci jednego z banków wozili kupony wspomnianych walorów do Szwajcarji, tam otrzymywali za nie należność, unikając w ten sposób płacenia podatku należnego przy takiej operacji skarbowi francuskiemu.

Na takich tranzakcjach skarb francuski stracił — około 4 miljardów franków!

W liczbie tych uchylających się od podatku figurują przedstawiciele znakomitych rodów, generałowie, duchowni, wysocy dostojnicy. Nazwiska ich wraz z adresami i z przydziałem do stosownego sędziego śledczego po debacie parlamentarnej ukazały się w pismach.

W drugim wypadku znowu mamy do czynienia ze śmietanką przemysłu i finansjery francuskiej: sfabrykowano fałszywe denuncjacje o łapówkach w stosunku do uczciwych działaczów politycznych i fałszywe dokumenty o sprzedaży akcji Niemcom, aby dopiero co uratowanej od krachu firmie budowy samolotów i eksploatacji linji lotniczych „Aeropostale" oczyścić drogę od konkurentów i zabezpieczyć od przenikliwych oczu kontroli społecznej.

Przebieg ujawnienia tych dwóch skandalów, wykrycie ich bez żadnej pobłażliwości, a także zachowanie się rządu w obu tych sprawach — są wysoce pouczające.

Skandale nie zabagniły życia politycznego i społecznego Francji, nie naruszyły normalnego biegu prac.

Rząd nie pokrył żadnych gwałcicieli prawa tylko dlatego, że wystąpiła z rewelacjami opozycja, lub dlatego, że władze wśród skompromitowanych miały przyjaciół; nie zamazano i nie stłumiono głosu prawdy.

Premjer Herriot, ministrowie skarbu Germain-Martin i lotnictwa Painleve, stwierdzili fakty, sprawa odeszła do właściwych władz sądowych. Po wielkiej burzy rząd uzyskał za każdym razem votum zaufania ogromną większością głosów, w której znaleźli się razem, i stronnicy, i przeciwnicy rządu.

Tak z gwałcicielami prawa rozprawił się parlament francuski.

***

Na ławie oskarżonych w Trybunale Stanu w Madrycie zasiedli członkowie byłego rządu dyktatorskiego Primo-de Rivery. Proces ciągnął się długo. W liczbie obrońców występuje szlachetnie syn zmarłego dyktatora, młody adwokat Antonio Primo-de-Rivera, broniąc ministra sprawiedliwości z gabinetu swojego ojca, Galo Ponte.

Prasa włoska ze wzruszeniem podaje przebieg tego procesu, a szczególniej mowy obrońców.

W relacji turyńskiej „Stampa" mowa młodego Primo-de-Rivery miała być osobliwie przekonywująca. Obrońca wskazywał, że oskarżycie nie mają prawa zarzucać jego klijentowi „złamania konstytucji", „czynów nielegalnych", bo sami proklamowali republikę w trybie nielegalnym.

Gdyby działać legalnie — mówił młody obrońca — potrzeba było po wyborach komunalnych w Hiszpanji z dn. 12 kwietnia 1931 r., które przecież nie mogły decydować o ustroju państwa, przywrócić stan rzeczy z czasów rządu markira Alhucenias w 1925 r. i dopiero w drodze nowych wyborów zmienić ustrój państwa. A tymczasem republikę proklamowano już w kwietniu 1931 r., podczas gdy wybory do kortezów odbyły się dopiero dnia 28 czerwca 1931 r.

Jego klijent został powołany na ministra wówczas, gdy konstytucja była faktycznie zniesiona.

Taką podwójną logiką i moralnością rządzi się obrońca dyktatury hiszpańskiej: republikanie mieli trzymać przy władzy monarchję póki łaskawie nie dopuści ona do republikańskich wyborów, w przeciwnym razie popełniali rzekomo gwałt nad konstytucją; zaś stronnicy dyktatury mieli prawo robić, co im się podoba, bo konstytucja de facto była zniesiona.

***

Prawicowy dziennik hiszpański „La Nacion", wychodzący w Madrycie, nie może pogodzić się z myślą o Katalonji, mającej w granicach Hiszpanji własnego prezydenta (pułk. Macia), własny sejm, własne szkoły. Pociesza się więc w oryginalny sposób: „Żałujemy ludu katalońskiego, nie dlatego, że dał zwycię-



stwo partji Macii, ale że będzie musiał z rezygnacją znosić plagę parlamentaryzmu".

Odrodzona Hiszpanja ma jeszcze i inne zagadnienia narodowościowe oprócz katalońskiego, np. baskijskie, ale nie wątpimy, że przy „pladze parlamentaryzmu" da sobie z tem radę. Ma zresztą bodaj jeszcze poważniejsze zagadnienia socjalne, a na pierwszem miejscu sprawę rolną.

We wrześniu tego roku konstytuanta zdołała dopiero uchwalić prawo o reformie rolnej. W ostatniej chwili włączono do niej wywłaszczenie bez odszkodowania wielkiej własności ziemskiej, wymierzone przedewszystkiem w grandów spiskujących przeciw republice.

O zastosowaniu tej reformy pisze poważne czasopismo ekonomiczne niemieckie „Weltwirtschaftliche Korrespondenz", że ta właśnie poprawka „zabezpiecza sfinansowanie reformy i pozwala na zarezerwowanie dla kredytów rolnych ogromnych sum, które państwo musiałoby wpłacać wywłaszczonym obszarnikom".

Utworzono już dwie potężne instytucje: Bank Narodowy Rolny i Instytut Reformy Agrarnej, które czuwają nad należytem i skutecznem wykonaniem reformy.

W rezultacie nie minie dziesięć lat, a nie będzie w Hiszpanji ani wielkich obszarników, ani robotników rolnych bez pracy, ani pól odłogiem leżących, ani właścicieli ziemskich nie uprawiających osobiście swojej ziemi.

Hiszpanja nie będzie znała innej arystokracji oprócz arystokracji pracy i ducha — mówił minister rolnictwa rządu republikańskiego w Kortezach.

St. Gr.

LISTY DO „EPOKI"

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Nie wiem, czy zechce Sz. Pan Redaktor uwzględnić moje uwagi, które posyłam Sz. Panu w formie listu, pragnąc zaznaczyć, w ten sposób, iż żadnych aspiracyj literacko - publicystycznych nie posiadam. Jestem ot, jeden z przechodniów ulicznych, któremu zdarzyło się w tych dniach widzieć na ul. Marszałkowskiej innego przechodnia, — niezwykłego nawet w naszych ciężkich czasach.

Po Marszałkowskiej tedy, w godzinach popołudniowych (28.XI.32) szedł człowiek, inteligent z wyglądu, ubrany schludnie, jednak o straszliwie wymizerowanej twarzy. Na piersiach zwisała mu tablica z napisem: *„Przyjmę każdą pracę"*.

Nie to jest zastanawiające, że taki człowiek szedł. Podobno na Zachodzie spotyka się częściej takich nieszczęśliwców. Przyglądałem się raczej z zaciekawieniem innym przechodniom, mijającym bezrobotnego. Na wszystkich twarzach darmobyś szukał przejawów współczucia, litości, troski, — była tylko ciekawość. Zdało mi się, iż czytałem w oczach ludzi, mijających bezrobotnego, ciągle powtarzające się zdanie: „Ciekawa rzecz, co też skłoniło tego gościa do tego rodzaju autoreklamy". Potem twarze oglądające się, przestawały się oglądać. Ludzie dalej szli. Nikt nie przystanął. Nikt nie zapytał. Nikt nie podał ręki.

Ja także nie. Dopiero w ogrodzie Saskim zdałem sobie sprawę z głębi tego widowiska, jakie oglądałem przed chwilą. W dwudziestym wieku chrześcijaństwa, w stolicy arcy - katolickiego kraju ludzie na ulicach mijają się jak zwierzęta, jak wilki!...

Zawróciłem z drogi, chciałem nieszczęśliwca odszukać, chciałem mu pomóc, tak, jak można zawsze pomóc człowiekowi biedniejszemu od samego siebie. Niestety — człowieka z tablicą już nie było.

To był, Panie Redaktorze, jeden z najprzykszejszych dni w mem życiu. Ciągle tłucze mi się w głowie myśl, że tego rodzaju rzeczy się mszczą. Ciekawość! Tylko ciekawość!...

Warszawa *Antoni W.*

KSIĄŻKI NADESŁANE

W. Rzymowski: W walce i burzy. Tadeusz Hołówko na tle epoki. Skład główny w księgarniach „Książnica - Atlas", Warszawa 1933.

Bohdan Suchodolski: Ideały kultury a prądy społeczne. Nakładem „Naszej Księgarni", Sp. Akc. Związku Nauczycielstwa Polskiego. Warszawa 1933.

Ernest Barker: Charakter narodowy. Z oryginału angielskiego przełożyła Irena Pannenkowa. Nakładem „Naszej Księgarni". Sp. Akc. Związku Nauczycielstwa polskiego. Warszawa 1933.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26 650

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Nr. 2800 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.